# IADOMOŚCI

TYGODNIK

Redakcja i administracja: 54, Bloomsbury St., London, W.C.1, tel. LAN 6894. — Prenumerata kwartalna 20s., w Stanach Zjednoczonych i Kanadzie 3 dolary, w Belgii 150 fr. belg., we Francji 980 fr., w Niemczech 13 DM., w Szwajcarii 14 fr. szw., we Włoszech 1750 lirów, w innych krajach równowartość 3 dolarów. Zmiana adresu 1s. Czeki należy wystawiać na „Wiadomości". Ogłoszenia: administracja „Wiadom[...]" [...] 1

1st July, 1956

G.P.O. as a newspaper

Rok XI nr 27 (535)

1 lipca 1956


GUSTAW HERLING-GRUDZIŃSKI

# R O Z T O P Y

### KOMUNIKAT METEOROLOGICZNY

Jest już jasne że należyta obserwacja tego co się dziś dzieje w Polsce wymagałaby stworzenia osobnego wydziału przy Państwowym Instytucie Meteorologicznym, czyli tak zwanym potocznie PIMie. Przypuszczam że komunikaty radiowe nadawane przez wydział kulturalny PIMu — zwłaszcza „prognozy na dzień jutrzejszy" — byłyby słuchane przez literatów i artystów w Kraju z taką samą uwagą, z jaką normalnych zapowiedzi meteorologicznych słuchają lotnicy i żeglarze wyruszający w daleką i niebezpieczną podróż. Nie rozporządzam niestety w moim skromnym obserwatorium prywatnym dostateczną ilością precyzyjnych przyrządów pomiarowych i dlatego nie zamierzam *zastąpić* PIMu. Ale sądzę że nawet te fragmentaryczne pomiary, jakich udało mi się dokonać w warunkach chałupniczych, mogą zainteresować czytelników „Wiadomości" i przynieść pewien pożytek nielicznym czytelnikom w Polsce jeśli dotrą do ich rąk.

Obecny stan pogody kulturalnej w Kraju podzielił obserwatorów na dwie biegunowo przeciwne grupy. Jedni (przeważnie emigranci) twierdzą że należy dalej siedzieć w futrach, walonkach i nausznikach i nie wierzyć zwodniczym przebłyskom słońca za ciężkimi, zimowymi chmurami; kto wyjdzie na ulicę przedwcześnie odwiośniony, ten „odmrozi sobie na złość mamie uszy". Drudzy (przeważnie sami literaci i artyści w Kraju) zdają się w niecierpliwym pośpiechu przeskakiwać niemal przedwiośnie i wiosnę i wyciągają już z naftaliny kostiumy kąpielowe. Ani jedno z tych stanowisk nie jest, moim zdaniem, słuszne. Emigranci mają naturalną skłonność do dalekowzrocznego sceptycyzmu ponieważ mieszkają w ciepłym klimacie, ale zapominają że prawdziwej, „murowanej" pogody nie można wysłać do Polski w paczkach „Tazaba"; w obecnej sytuacji politycznej nie ma żadnej innej alternatywy i jakakolwiek zmiana na lepsze w Kraju zależy w tej chwili *wyłącznie* od poprawy warunków atmosferycznych nad bezmiernymi obszarami imperium sowieckiego. Literaci i artyści w Polsce mają naturalną potrzebę jak naj[illegible] zrzucenia z siebie ciężkic[illegible] [illegible]szego ponieważ przez dziesięć l[illegible] futer po- w mroźnym klimacie [illegible] męczyli się że w ciągu tych d[illegible] ale zapominają [illegible] mnożyło się wśród [illegible]ziesięciu lat na- [illegible] nich dość dużo specjalistów od [illegible]robienia lodowatego wiatru, którzy nie dadzą tak łatwo za wygraną. Prawda znajduje się [illegible] pośrodku: ani „znowu zima", ani „lato za pasem", ani powrót do „zamordyzmu" ani pełna „liberalizacja", lecz poważna *rewolucja psychiczna* której pewne elementy nie mogą się już odstać i mądrze rozegrane dają niezły punkt wyjścia do walki i nadziei na przyszłość.

Różnica ocen pociąga oczywiście za sobą różnicę nomenklatury. Z jednej strony mówi się o „przelotnym

ni pociąg. Jego nowa książka — nie mówiąc o tym że szmirowata literacko, naiwnie sentymentalna, pełna nonsensów psychologicznych i bez porównania gorsza od poprzedniej — jest przeraźliwie nieaktualna i zdystansowana przez bieg wypadków. Czym był tom pierwszy „Odwilży"? Podzwonnym stalinowskiej zimie, nieśmiałą jeszcze ale dosłyszalną dla wszystkich pieśnią o przedwiośniu roztapiającym wieloletnie obręcze mrozu, przypowieścią o wielkiej zmianie pogody. Jego symbolika meteorologiczna była tak wyraźna, zmiana tak niedwuznacznie przychodziła *z góry*, że w ostatnich scenach mieliśmy wręcz alegorię burzy zrywającej dachy z baraków robotniczych i wymiatającej z miasta kacyka stalinowskiego Żurawlewa, a młody Wołodia Puchow i Tania zaczynają ni mniej ni więcej tylko oczekiwać cudu.

Co z tego zostało w drugim tomie „Odwilży"? Sama metaforyka pogody bez żadnej treści. Dowiadujemy się że w rok po wypadkach opisanych w pierwszym tomie „wiosna przyszła bardzo późno i jeszcze przed tygodniem były silne przymrozki", oraz że „zimą trudno sobie wyobrazić co się znajduje pod śniegiem". Ale jednocześnie znika bez śladu nastrój wielkiej zmiany *odgórnej* i Erenburg wychodzi ze skóry by dowieść że odwilż przyszła spontanicznie *z dołu*, sama z siebie, że jest naturalnym dorośnięciem całego społeczeństwa sowieckiego do pełnoletności. W drugim tomie nie pada ani razu nazwisko Stalina i okazuje się że to co uważaliśmy za wstrząs spowodowany jego śmiercią było po prostu najzwyklejszym w świecie rozkwitnięciem pierwiosnków, których nasiona czekały spokojnie pod śniegiem na pierwsze promienie słońca.

Żurawlew, stalinowski kacyk z pierwszego tomu, zjawia się teraz pośrednio na kartach dalszego ciągu powieści jako przyzwoity w gruncie rzeczy człowiek, doskonały organizator i dyrektor fabryki, który tym tylko zawinił że w zapale produkcyjnym zapomniał o warunkach życia robotników. Korotiejew, ten sam Korotiejew który twierdził niegdyś że „rozumny człowiek nie mówi nigdy tego co myśli", głosuje teraz zgodnie z sumieniem nie dlatego że przestał się bać, ale dlatego że mimo czterdziestki za pasem skończył właśnie dwadzieścia jeden lat. Puchow maluje coraz gorzej nie dlatego że zniszczył go socrealizm stalinowski, ale dlatego że miał zawsze słaby charakter. Tępiony dotąd Saburow zaczyna nagle robić furorę malarską nie dlatego że [illegible] pociągnął za sobą do grobu Gierasimowa, ale dlatego że dobrzy, prości i wrażliwi ludzie sowieccy odwiedzili któregoś dnia jego pracownię i otworzyli szeroko oczy z zachwytu na widok jego obrazów. Wiera Szerer zapomniała już zupełnie o przykrościach, jakie miała w związku z wykrytym przez Stalina „spiskiem lekarzy żydowskich". Sokołowskij, za którym przez

zdrowych zmysłach nie powie że w procesie odwilży nie było *w ogóle* ruchów i nacisków oddolnych. Rzecz prosta, były. Erenburg wyolbrzymił karykaturalnie ich znaczenie, i odtąd *wszyscy* będą niezgodnie z prawdą wyolbrzymiali ich znaczenie, gdyby tego jednak nie robili, odwilż straciłaby *wszelkie* cechy trwałości i zamieniłaby się w zbiorowe przyklękanie i całowanie „dobrotliwego" Chruszczewa w łapę. Jedyna szansa obecnej liberalizacji tkwi w tak upartym naciąganiu jej przyczyn z góry w dół, aby ten kto zechce ją pewnego mroźnego dnia odwołać, stanął wobec nielada dylematu jak to zrobić. Inteligencja rosyjska przechowała pod śniegiem nasienie wolności, i nowy jedenastogłowy Aleksander II pozwolił mu chcąc nie chcąc zakiełkować.

Na emigracji jedyny Stanisław Mackiewicz („Wiadomości", nr 520) dostrzegł podobieństwo między tym co się obecnie dzieje w Rosji a wstąpieniem na tron Aleksandra II w r. 1855. „Nie zmieniono wtedy systemu politycznego, lecz pozwolono głośno myśleć... Wydano dziś w Rosji komendę: „Spocznij!". Krzyknięto: „Myślcie swobodniej!". Tego samego zdania jest znakomity historyk włoski prof. Franco Venturi, były attaché kulturalny ambasady włoskiej w Moskwie i autor monumentalnego „Il Populismo Russo". „Odwilż dała miejsce zjawiskom, które muszą przypominać początki panowania Aleksandra II — od reform odgórnych do manifestacji studenckich" („Il Ponte" z kwietnia 1956). Naturalnie jest to tylko powszechne, nie kończące się „konwersatorium" bez żadnych określonych następstw politycznych (w Polsce nosi ono nazwę „rozmów nocnych" i każe wierzyć w wybuch błogosławionej epidemii bezsenności wśród intelektualistów krajowych). Ale na Aleksandrze II nie skończyła się historia i kiedy Rosjanie zaczynają głośno myśleć, nigdy nie wiadomo gdzie i jak skończą.

Nie chodzi o to że się wyciąga z grobów zamordowanych. Nie chodzi o to, na przykład, że toczy się w tej chwili proces rehabilitacyjny Meyerholda. Znacznie ważniejszy jest fakt że uchował się i pozostał w jakimś stopniu wierny swemu mistrzowi uczeń Meyerholda Jutkiewicz. Nie chodzi o to że rehabilituje się Babiela i zamierza zrehabilitować Pilniaka, że w drugim tomie „Odwilży" znajdujemy ze zdumieniem w zapiskach pośmiertnych starego Puchowa taką notatkę: „Trzeba opowiedzieć chłopcom w szkole o Zamiatinie", że piszący te słowa ma teraz prawo oczekiwać oficjalnego komunikatu sowieckiego o otruciu Gorkiego na rozkaz Stalina. Stokroć ważniejszy jest fakt że zaledwie odtrąbiono na „spocznij", na scenę małego prowincjonalnego teatrzyku w Władimirze wjechał dramat młodego i nikomu nie znanego pisarza sowieckiego Olieszina „Odna".

Tego dramatu oczywiście nie widziałem, ale znam dość dokładnie jego treść z recenzji moskiewskiego

giej Pietrowicz. Niemłody już ale przystojny i dobrze „zakonserwowany", ma wszystko co potrzebne jest do szczęścia: dobrą posadę, ciekawą pracę, zakochaną w nim bez pamięci żonę Marję Michajłownę i uroczą piętnastoletnią córkę Ninę. Kłopot polega na tym że typowy „successful man" sowieckiej klasy technokratów jest *właśnie dlatego* niezadowolony i szuka w życiu czegoś nieokreślonego. Już to samo jest zupełnym novum w dramacie pisarza komunistycznego.

Sjergiej Pietrowicz znajduje to czego szukał w postaci własnej sekretarki Barbary Wasiljewny, która kocha się w nim od dawna jak pensjonarka. Nasz bohater łamie się najpierw długo ze sobą, ale w końcu ulega i w noc Sylwestrową, dokładnie w chwili kiedy dzwony Kremla zwiastują Nowy Rok, wyznaje jej przez telefon swoją miłość. Zaczyna się normalny romans, skomplikowany faktem że także Barbara jest mężatką. Jej mąż Paweł jest podwładnym Sjergieja i nie widzi poza nią świata Bożego. Nie trzeba dodawać że jak przystało na klasycznego zdradzanego męża na scenie, nie wie nic o przyprawionych mu przez pryncypała rogach.

Romans nie tylko trwa, lecz rozżarza się do czerwoności. Sjergiej chce rzucić żonę, nie może się jednak odważyć na ten krok po osiemnastu latach małżeństwa. Barbara jest odważniejsza, wygarnia swojemu Pawłuszy prawdę w oczy i wynosi się od niego do ojca.

Co na to partia? — zadaje sobie w duchu pytanie publiczność, śledząca dramat Olieszina z zapartym tchem i wypiekami na twarzach. Przecież to nie uchodzi, przecież Sjergiej jest wzorowym komunistą, przecież to on właśnie przyłożył kiedyś rękę do wyrzucenia z partii swojego towarzysza zaplątanego w niemoralne amory. I istotnie: przełożony partyjny wzywa do siebie naszego bohatera, zasypuje go gorzkimi wymówkami, przypomina mu że rodzina jest podstawą społeczeństwa socjalistycznego. Ale zamiast skruchy, samokrytyki i obietnicy poprawy, natrafia na bunt. Partia — krzyczy Sjergiej — nie ma prawa mieszać się do życia osobistego swoich członków! Czy to jego wina że odkrył tak późno szczęście? Nie, nie — to nie partii sprawa pouczać go jaką kobietę ma kochać a jaką pozostawić jej własnemu losowi!

Ottone pisze że słuchał, nie wierząc własnym uszom: typowy przypadek „burżuazyjnego hedonizmu", jak obszył pod nóż „Prawdy" za „zgniły dekadentyzm"... Zaraz się wszystko wyjaśni i na widnokręgu teatralnym pojawi się gwiazda przewodnia „realizmu socjalistycznego"... Nic się nie wyjaśnia i nic się nie zjawia: kochankowie kochają się dalej, idą krok po kroku w ślad za swoim przeznaczeniem i w końcu Sjergiej przenosi się do Barbary; Marja Michajłowna zostaje sama z Niną; kurtyna.

Dramat Olieszina miał być wystawiony w Moskwie 8 marca przez teatr Wachtangowa. „Spadł z afisza" zanim się na niego dostał z przyczyn,

merów. Nie chcę tu skrzywdzić Kotta, — nie należy on moim zdaniem w stu procentach do najgorszej kategorii zakutych łbów komunistycznych, — ale rysunek, którym ozdobiono jego referat programowy, jest bardzo trafny. Właśnie o to chodzi. Sam Kott też był przez dziesięć lat nagi, gdy zapewniał wszystkich że wynalazł receptę na „nowy realizm" i jako doskonałą próbkę tego realizmu wskazywał szmirę Kuśmierka „Rok 1944". Musi się dziś czuć nieswojo, słuchając głosów domagających się rehabilitacji Armii Krajowej w imię prawdziwego realizmu.

Kott napisał książkę p.t. „Mitologia i realizm". Jego referat na XIX sesji nosił nazwę „Mitologia i prawda". Miało to przypuszczalnie oznaczać że zalecany dotąd przez Kotta „nowy realizm" nie zgadzał się dziwnym zbiegiem okoliczności z prawdą. „Literatura — obwieścił teraz zebranym swoje nowe odkrycie wieczny wynalazca i piewca „przygód intelektualnych" — której nie wolno było mówić o zbrodniach, literatura która musiała milczeć o procesach wstrząsających sumieniem i stanowiących codzienną rzeczywistość wielu lat, literatura która miała zamknięte usta, musiała brnąć coraz dalej i głębiej w kłamstwo, tworzyć coraz bardziej fikcyjną wizję rzeczywistości". Brawo. Cały dowcip jedynie w tym że nie Kott był najbardziej powołany do ogłoszenia dzisiaj „ex cathedra" XIX sesji tej najnowszej prawdy jeszcze nowszego realizmu. Że referat programowy powinien był wygłosić zamiast niego — powiedzmy — Sandauer. A jeśli *nawet* Kott nie nadawał się na dyrygenta chóru udręczonych i przykutych do gale y w pierwszych dniach „trzęsienia ziemi", to tym mniej zasługiwali na otrzymanie w tym chórze partii solowych Putrament, Sokorski i Żółkiewski. O nich pomówimy osobno.

Pomysł powierzenia Kottowi referatu programowego nie uszedł organizatorom i prelegentowi na sucho, i to właśnie uważam za największą zdobycz XIX sesji; rysunek w „Przeglądzie Kulturalnym" nie był tylko doskonałym żartem karykaturzysty — podsumowywał dokładnie ton większości wypowiedzi w dyskusji. „Kott jest nagi!" — krzyczano z lewa i z prawa, i bardzo dobrze że tak krzyczano. Daje to jaką taką gwarancję że w obecnej fazie roztopów toczy się słuszna i rozumna walka o niepomieszanie czystych strumieni z błotem, o niedopuszczenie do tej brudnej, mętnej, przedwiosennej zupy, w której najchętniej łowią ryby wędkarze zaopatrzeni jedynie w sztuczne przynęty.

Estreicher wyprosił sobie w referacie Kotta formę „my": myśmy popełnili błędy, myśmy nie docenili należycie, myśmy tępili lub faworyzowali niesłusznie. Zdemaskowany w swojej nagości król nie ma prawa do „pluralis majestaticus", a tym bardziej — do liczby mnogiej demokratycznej. Sandauer ujął w swoim wystąpieniu trafnie sytuację, mówiąc że prawo do naprawiania maszyny mają nie tylko ci co ją zepsuli. Po-

utworzenia osobnego wydziału przy Państwowym Instytucie Meteorologicznym, czyli tak zwanym potocznie PIMie. Przypuszczam że komunikaty radiowe nadawane przez wydział kulturalny PIMu — zwłaszcza „prognozy na dzień jutrzejszy" — byłyby słuchane przez literatów i artystów w Kraju z taką samą uwagą, z jaką normalnych zapowiedzi meteorologicznych słuchają lotnicy i żeglarze wyruszający w daleką i niebezpieczną podróż. Nie rozporządzam niestety w moim skromnym obserwatorium prywatnym dostateczną ilością precyzyjnych przyrządów pomiarowych i dlatego nie zamierzam *zastąpić* PIMu. Ale sądzę że nawet te fragmentaryczne pomiary, jakich udało mi się dokonać w warunkach chałupniczych, mogą zainteresować czytelników „Wiadomości" i przynieść pewien pożytek nielicznym czytelnikom w Polsce jeśli dotrą do ich rąk.

Obecny stan pogody kulturalnej w Kraju podzielił obserwatorów na dwie biegunowo przeciwne grupy. Jedni (przeważnie emigranci) twierdzą że należy dalej siedzieć w futrach, walonkach i nausznikach i nie wierzyć zwodniczym przebłyskom słońca za ciężkimi, zimowymi chmurami; kto wyjdzie na ulicę przedwcześnie odwiośniony, ten „odmrozi sobie na złość mamie uszy". Drudzy (przeważnie sami literaci i artyści w Kraju) zdają się w niecierpliwym pośpiechu przeskakiwać niemal przedwiośnie i wiosnę i wyciągają już z naftaliny kostiumy kąpielowe. Ani jedno z tych stanowisk nie jest, moim zdaniem, słuszne. Emigranci mają naturalną skłonność do dalekowzrocznego sceptycyzmu ponieważ mieszkają w ciepłym klimacie, ale zapominają że prawdziwej, „murowanej" pogody nie można wysłać do Polski w paczkach „Tazaba"; w obecnej sytuacji politycznej nie ma żadnej innej alternatywy i jakakolwiek zmiana na lepsze w Kraju zależy w tej chwili *wyłącznie* od poprawy warunków atmosferycznych nad bezmiernymi obszarami imperium sowieckiego. Literaci i artyści w Polsce mają naturalną potrzebę jak najszybszego zrzucenia z siebie ciężkich futer ponieważ przez dziesięć lat męczyli się w mroźnym klimacie ale zapominają że w ciągu tych dziesięciu lat namnożyło się wśród nich dość dużo specjalistów od robienia lodowatego wiatru, którzy nie dadzą tak łatwo za wygraną. Prawda znajduje się więc gdzieś pośrodku: ani „znowu zima", ani „lato za pasem", ani powrót do „zamordyzmu" ani pełna „liberalizacja", lecz poważna *rewolucja psychiczna* której pewne elementy nie mogą się już odstać i mądrze rozegrane dają niezły punkt wyjścia do walki i nadziei na przyszłość.

Różnica ocen pociąga oczywiście za sobą różnicę nomenklatury. Z jednej strony mówi się o „przelotnym i nietrwałym ociepleniu", z drugiej o „trzęsieniu ziemi" lub — jak to zrobił Przyboś w wierszu „Wiosna 1956" — o „huku lodów rozsadzanych dynamitem". Co do mnie, zaproponowałbym inną i bliższą rzeczywistości nazwę. Kiedy pod koniec zimy słońce przygrzewa długo i *nierównomiernie*, tworzą się roztopy. Lód i śnieg topnieją wolno, co pewien czas wracają przymrozki, w dzień cały świat nurza się w błocie. To prawda że w błocie, ale jednocześnie spod pękającej skorupy wytryskują tu i ówdzie czyste strumienie i źródełka a rzeki wydobywają się z żelaznych okowów i ruszają naprzód.

### ERENBURG SPÓŹNIŁ SIĘ NA POCIĄG

Centrala pogody jest w Moskwie — i dlatego trzeba najpierw zrobić pomiary meteorologiczne w Moskwie. Nazwę „odwilży" wymyślił Erenburg — i dlatego trzeba najpierw przeczytać drugi tom jego powieści, który ukazał się w kwietniowym numerze miesięcznika „Znamia".

Wiem z doniesień korespondentów zagranicznych w Moskwie że wywołał on wśród czytelników sowieckich powszechne rozczarowanie. Jeśli tak jest naprawdę, to publiczność sowiecka zachowała mimo wszystko skromne resztki wyczucia literackiego i zdrowego rozsądku. Już pierwszy tom „Odwilży" był słabiutki jako powieść (por. moje uwagi w nr. 456 „Wiadomości"), ale miał przynajmniej kolosalne znaczenie polityczne, ochrzcił swoim tytułem cały okres postalinowski. W procesie pośmiertnym przeciw Stalinowi Erenburg wybiegł trochę naprzód i powiedział parę rzeczy, o których podówczas nie mówiło się jeszcze w Rosji zbyt otwarcie. Dostał za to po łapach od swoich pryncypałów politycznych i bardziej ortodoksyjnych kolegów po piórze, ale postawiony do kąta za karę przez surowe grono profesorskie, cieszył w zamian za to wytargane uszy dźwiękiem oklasków dochodzących z ulicy i z zagranicy. Erenburg miał zawsze talent dążenia na najwcześniejszy pociąg; przez chwilę jednak wydawało się że wybrał pociąg idący w złym kierunku. Dziś wiemy już, że nie, i sęk jedynie w tym że wybrał pociąg zarezerwowany *wyłącznie* dla najwyższych dygnitarzy partyjnych. Toteż bileter wysadził go z krzykiem na najbliższej stacji. Przestraszony i trochę oszołomiony stał długo na peronie, czekając na przesiadkę. Był teraz przesadnie ostrożny i przegapił kilka następnych połączeń. Pod wieczór zaniepokoił się że zostanie sam na maleńkiej stacyjce i pobiegł do zawiadowcy: okazało się że ostatni pociąg już odszedł. W okolicy nie było nawet przyzwoitego samochodu. i Erenburg wybrał się w dalszą drogę jednokonną furmanką.

Taka jest obrazowo sytuacja drugiego tomu „Odwilży". Erenburg, pasażer literacki z najlepszym w Rosji rozkładem jazdy, spóźnił się na ostat-

porównania gorsza od poprzedniej — jest przeraźliwie nieaktualna i zdystansowana przez bieg wypadków. Czym był tom pierwszy „Odwilży"? Podzwonnym stalinowskiej zimie, nieśmiałą jeszcze ale dosłyszalną dla wszystkich pieśnią o przedwiośniu roztapiającym wieloletnie obręcze mrozu, przypowieścią o wielkiej zmianie pogody. Jego symbolika meteorologiczna była tak wyraźna, zmiana tak niedwuznacznie przychodziła *z góry*, że w ostatnich scenach mieliśmy wręcz alegorię burzy zrywającej dachy z baraków robotniczych i wymiatającej z miasta kacyka stalinowskiego Żurawlewa, a młody Wołodia Puchow i Tania zaczynają ni mniej ni więcej tylko oczekiwać cudu.

Co z tego zostało w drugim tomie „Odwilży"? Sama metaforyka pogody bez żadnej treści. Dowiadujemy się że w rok po wypadkach opisanych w pierwszym tomie „wiosna przyszła bardzo późno i jeszcze przed tygodniem były silne przymrozki", oraz że „zimą trudno sobie wyobrazić co się znajduje pod śniegiem". Ale jednocześnie znika bez śladu nastrój wielkiej zmiany *odgórnej* i Erenburg wychodzi ze skóry by dowieść że odwilż przyszła spontanicznie *z dołu*, sama z siebie, że jest naturalnym dorośnięciem całego społeczeństwa sowieckiego do pełnoletności. W drugim tomie nie pada ani razu nazwisko Stalina i okazuje się że to co uważaliśmy za wstrząs spowodowany jego śmiercią było po prostu najzwyklejszym w świecie rozkwitnięciem pierwiosnków, których nasiona czekały spokojnie pod śniegiem na pierwsze promienie słońca.

Żurawlew, stalinowski kacyk z pierwszego tomu, zjawia się teraz pośrednio na kartach dalszego ciągu powieści jako przyzwoity w gruncie rzeczy człowiek, doskonały organizator i dyrektor fabryki, który tym tylko zawinił że w zapale produkcyjnym zapomniał o warunkach życia robotników. Korotiejew, ten sam Korotiejew który twierdził niegdyś że „rozumny człowiek nie mówi nigdy tego co myśli", głosuje teraz zgodnie z sumieniem nie dlatego że przestał się bać, ale dlatego że mimo czterdziestki za pasem skończył właśnie dwadzieścia jeden lat. Puchow maluje coraz gorzej nie dlatego że zniszczył go socrealizm stalinowski, ale dlatego że miał zawsze słaby charakter. Tępiony dotąd Saburow zaczyna nagle robić furorę malarską nie dlatego że Stalin pociągnął za sobą do grobu Gierasimowa, ale dlatego że dobrzy, prości i wrażliwi ludzie sowieccy odwiedzili któregoś dnia jego pracownię i otworzyli szeroko oczy z zachwytu na widok jego obrazów. Wiera Szerer zapomniała już zupełnie o przykrościach, jakie miała w związku z wykrytym przez Stalina „spiskiem lekarzy żydowskich". Sokołowskij, za którym przez tyle lat wlokła się jak zły cień córka w Belgii, spotyka teraz swoją Maszeńkę, czyli Mary, w moskiewskim hotelu Intourista i bliski jest filozoficznego wniosku że władza sowiecka nie była widać wcale taka głupia, skoro nie mają sobie oboje po tylu latach rozłąki nic do powiedzenia.

Wszyscy są kochani, dobrzy i życzliwi, obraz staje się pogodny i pastelowy w kolorach. Nie było nigdy żadnego Stalina, nie było terroru i bezlitosnej długiej zimy, ludzie obudzili się po prostu pewnego pięknego przedwiosennego dnia i spojrzeli inaczej na świat. W drugim tomie „Odwilży" zjawia się nowa postać, której nie poznaliśmy w pierwszym tomie z tego prostego powodu że siedziała w kryminale. Jest to ojczym Korotiejewa, Wyrubin, zrehabilitowany po siedemnastu latach mieszkaniec odległej części Rosji, gdzie — jak powiada delikatnie Erenburg — „było bardzo zimno". Ten Wyrubin chwyta od razu wszystkich za serce swoją dobrocią, pogodą ducha, entuzjazmem, zupełnym brakiem rozgoryczenia i jako botanik z zawodu bierze się żwawo do obalania fałszywych teorii Łysjenki. Co epizod, to bardziej rozczulający od poprzedniego.

Skąd ta bzdura? Z daty która widnieje pod drugim tomem „Odwilży": 1955. Erenburg chciał zatrzeć wspomnienie tego co nabroił i przed rokiem zasiadł do pisania dalszego ciągu powieści; chciał — jak sam powiedział korespondentowi „Corriere della Sera" — wykazać że odwilż nie jest wytworem dekretu rządowego idącego z góry, lecz spontanicznym zjawiskiem społecznym; chciał wycofać zarzuty, jakie postawił pośrednio w pierwszym tomie ludziom, którzy byli przez lata najbliższymi współpracownikami Stalina i pozostali po jego śmierci przy władzy. Spóźnił się jednak na pociąg. Kiedy wybiegł na peron z biletem kwietniowego numeru „Znamieni", upłynęło już półtora miesiąca od przemknięcia przez salę XX kongresu w Moskwie rozpędzonego expressu z rewelacjami Chruszczewa. Nie był to może dekret rządowy idący z góry?

Gdybyśmy chcieli zamiast porównania „kolejowego", użyć tu porównania bardziej zbliżonego do naszego szyfru meteorologicznego, moglibyśmy powiedzieć że autor „Odwilży" spóźnił się na łamacz lodów i został na krze, powiewając głupkowato i błagalnie śmieszną, małą chorągiewką.

### CIEŃ ALEKSANDRA II

Erenburg nie jest jednak aż taki głupi na jakiego wygląda w drugim tomie swojej powieści, a jego chorągiewka jest wprawdzie bardzo mała ale nie taka znowu śmieszna.

Tak, to prawda — dalszy ciąg „Odwilży" jest postawieniem całego zagadnienia na głowie i sfałszowaniem rzeczywistości w dziewięćdziesięciu procentach. Ale pozostaje dziesięć procent niesfałszowane. Nikt przy

nacisków oddolnych. Rzecz prosta, były. Erenburg wyolbrzymił karykaturalnie ich znaczenie, i odtąd *wszyscy* będą niezgodnie z prawdą wyolbrzymiali ich znaczenie, gdyby tego jednak nie robili, odwilż straciłaby *wszelkie* cechy trwałości i zamieniłaby się w zbiorowe przyklękanie i całowanie „dobrotliwego" Chruszczewa w łapę. Jedyna szansa obecnej liberalizacji tkwi w tak upartym naciąganiu jej przyczyn z góry w dół, aby ten kto zechce ją pewnego mroźnego dnia odwołać, stanął wobec nielada dylematu jak to zrobić. Inteligencja rosyjska przechowała pod śniegiem nasienie wolności, i nowy jedenastogłowy Aleksander II pozwolił mu chcąc nie chcąc zakiełkować.

Na emigracji jedyny Stanisław Mackiewicz („Wiadomości", nr 520) dostrzegł podobieństwo między tym co się obecnie dzieje w Rosji a wstąpieniem na tron Aleksandra II w r. 1855. „Nie zmieniono wtedy systemu politycznego, lecz pozwolono głośno myśleć... Wydano dziś w Rosji komendę: „Spocznij!". Krzyknięto: „Myślcie swobodniej!". Tego samego zdania jest znakomity historyk włoski prof. Franco Venturi, były attaché kulturalny ambasady włoskiej w Moskwie i autor monumentalnego „Il Populismo Russo". „Odwilż dała miejsce zjawiskom, które muszą przypominać początki panowania Aleksandra II — od reform odgórnych do manifestacji studenckich" („Il Ponte" z kwietnia 1956). Naturalnie jest to tylko powszechne, nie kończące się „konwersatorium" bez żadnych określonych następstw politycznych (w Polsce nosi ono nazwę „rozmów nocnych" i każe wierzyć w wybuch błogosławionej epidemii bezsenności wśród intelektualistów krajowych). Ale na Aleksandrze II nie skończyła się historia i kiedy Rosjanie zaczynają głośno myśleć, nigdy nie wiadomo gdzie i jak skończą.

Nie chodzi o to że się wyciąga z grobów zamordowanych. Nie chodzi o to, na przykład, że toczy się w tej chwili proces rehabilitacyjny Meyerholda. Znacznie ważniejszy jest fakt że uchował się i pozostał w jakimś stopniu wierny swemu mistrzowi uczeń Meyerholda Jutkiewicz. Nie chodzi o to że rehabilituje się Babiela i zamierza zrehabilitować Pilniaka, że w drugim tomie „Odwilży" znajdujemy ze zdumieniem w zapiskach pośmiertnych starego Puchowa taką notatkę: „Trzeba opowiedzieć chłopcom w szkole o Zamiatinie", że piszący te słowa ma teraz prawo oczekiwać oficjalnego komunikatu sowieckiego o otruciu Gorkiego na rozkaz Stalina. Stokroć ważniejszy jest fakt że zaledwie odtrąbiono na „spocznij", na scenę małego prowincjonalnego teatrzyku w Władimirze wjechał dramat młodego i nikomu nie znanego pisarza sowieckiego Olieszina „Odna".

Tego dramatu oczywiście nie widziałem, ale znam dość dokładnie jego treść z recenzji moskiewskiego korespondenta „Corriere della Sera" Piero Ottone. Warto ją tu opowiedzieć.

Bohaterem sztuki Olieszina jest naczelny inżynier pewnej fabryki Sjer-

---

**JAN LECHOŃ**

## „Bzy w Pensylwanii"

*Przed domem uschły biały bez,*
*Ulica szarą zaszła mgłą.*
*Smutek bez sensu i bez łez.*
*...You know, you know...*

*Lokomotywy nocą gwizd*
*Gdy się w tej mgle powoli szło.*
*I szary dzień i smutny list.*
*...You know, you know...*

*Potem pod ziemią węgiel wierć*
*I sennie w barze patrz we szkło.*
*Co dzień to samo. I już śmierć.*
*...You know, you know...*

Jan Lechoń.

**JAN WINCZAKIEWICZ**

## Na śmierć Lechonia

*Eteryczny, seraficzny*
*idzie Lechoń śród aniołów,*
*sam anielski, anhelliczny —*
*tylko serce ma jak ołów.*

*Już mu swojskiej mitologii*
*niepotrzebne rekwizyty:*
*kontusz, szabla i ostrogi,*
*kołpak z piórem i pas lity.*

*Na nic wstążki i sztambuchy,*
*kij pielgrzymi i czamara —*
*jest aniołem. Czystym duchem.*
*Jego zgon to śmierć Ikara.*

*W przepaść strącił marne ciało,*
*wzleciał „jak sen jaki złoty".*
*Tylko serce w nim zostało.*
*Ziemskie. Polskie. Do tęsknoty.*

Paryż, 9 czerwca 1956.

Jan Winczakiewicz.

---

już ale „zakonserwowany", ma wszystko co potrzebne jest do szczęścia: dobrą posadę, ciekawą pracę, zakochaną w nim bez pamięci żonę Marję Michajłownę i uroczą piętnastoletnią córkę Ninę. Kłopot polega na tym że typowy „successful man" sowieckiej klasy technokratów jest *właśnie dlatego* niezadowolony i szuka w życiu czegoś nieokreślonego. Już to samo jest zupełnym novum w dramacie pisarza komunistycznego.

Sjergiej Pietrowicz znajduje to czegoś w postaci własnej sekretarki Barbary Wasiljewny, która kocha się w nim od dawna jak pensjonarka. Nasz bohater łamie się najpierw długo ze sobą, ale w końcu ulega i w noc Sylwestrową, dokładnie w chwili kiedy dzwony Kremla zwiastują Nowy Rok, wyznaje jej przez telefon swoją miłość. Zaczyna się normalny romans, skomplikowany faktem że także Barbara jest mężatką. Jej mąż Paweł jest podwładnym Sjergieja i nie widzi poza nią świata Bożego. Nie trzeba dodawać że jak przystało na klasycznego zdradzanego męża na scenie, nie wie nic o przyprawionych mu przez pryncypała rogach.

Romans nie tylko trwa, lecz rozżarza się do czerwoności. Sjergiej chce rzucić żonę, nie może się jednak odważyć na ten krok po osiemnastu latach małżeństwa. Barbara jest odważniejsza, wygarnia swojemu Pawłuszy prawdę w oczy i wynosi się od niego do ojca.

Co na to partia? — zadaje sobie w duchu pytanie publiczność, śledząca dramat Olieszina z zapartym tchem i wypiekami na twarzach. Przecież to nie uchodzi, przecież Sjergiej jest wzorowym komunistą, przecież to on właśnie przyłożył kiedyś rękę do wyrzucenia z partii swojego towarzysza zaplątanego w niemoralne amory. I istotnie: przełożony partyjny wzywa do siebie naszego bohatera, zasypuje go gorzkimi wymówkami, przypomina mu że rodzina jest podstawą społeczeństwa socjalistycznego. Ale zamiast skruchy, samokrytyki i obietnicy poprawy, natrafia na bunt. Partia — krzyczy Sjergiej — nie ma prawa mieszać się do życia osobistego swoich członków! Czy to jego wina że odkrył tak późno szczęście? Nie, nie — to nie partii sprawa pouczać go jaką kobietę ma kochać a jaką pozostawić jej własnemu losowi!

Ottone pisze że słuchał, nie wierząc własnym uszom: typowy przypadek „burżuazyjnego hedonizmu", jak obszył pod nóż „Prawdy" za „zgniły dekadentyzm"... Zaraz się wszystko wyjaśni i na widnokręgu teatralnym pojawi się gwiazda przewodnia „realizmu socjalistycznego"... Nic się nie wyjaśnia i nic się nie zjawia: kochankowie kochają się dalej, idą krok po kroku w ślad za swoim przeznaczeniem i w końcu Sjergiej przenosi się do Barbary; Marja Michajłowna zostaje sama z Niną; kurtyna.

Dramat Olieszina miał być wystawiony w Moskwie 8 marca przez teatr Wachtangowa. „Spadł z afisza" zanim się na niego dostał z przyczyn, których łatwo się domyślić. Dwa prowincjonalne teatry w Władimirze i w Iwanowie zdobyły egzemplarz i zapaliły się do grania. Władimirskie i iwanowskie władze partyjne wpadły na trop spisku i uderzyły na alarm. Olieszina wezwano z Moskwy żeby się wytłumaczył. Oświadczył najspokojniej w świecie że „Odna" wierna jest co do joty zasadom realizmu: czy w Związku Sowieckim ludzie nie kochają się i nie zdradzają? Dano mu spokój.

Dramat Olieszina zasługuje na osobną notatkę w moim obserwatorium meteorologicznym.

### KOTT JEST NAGI

Gdyby mnie ktoś zapytał co uważam za najważniejsze w XIX sesji Rady Kultury i Sztuki w Warszawie, odpowiedziałbym bez namysłu: rysunek którym „Przegląd Kulturalny" zilustrował referat programowy Kotta. Przedstawia on małego golasa wrzeszczącego w niebogłosy „Król jest nagi!".

Jeden z pisarzy krajowych nazwał to co się w tej chwili dzieje w Polsce trzęsieniem ziemi. Każdy z nas — napisał — przeżywa teraz swoje prywatne trzęsienie ziemi. XIX sesja Rady Kultury i Sztuki była zbiorowym, chóralnym trzęsieniem ziemi w polskim życiu kulturalnym po XX kongresie sowieckiej partii komunistycznej. Na sali obrad powiał wiatr wolności. Większość uczestników wierzyła że jest to wiatr trwały, że otworzył on z trzaskiem okna, których nikt już nie ośmieli się z powrotem zamknąć. Ale walka dopiero się zaczęła. I pierwszym warunkiem jej powodzenia, jej podstawowym nakazem strategicznym jest usunięcie całkowicie z gry, odizolowanie grupy tych pisarzy i działaczy kulturalnych, którzy przez dziesięć lat odgrywali w Polsce rolę wilków policyjnych a dziś albo nie przyszli w ogóle na XIX sesję, albo przyszli w owczych skórach.

Główne zagadnienie brzmi więc tak: *kto* krzyczy że „król jest nagi"? Jeżeli krzyczą ludzie, którzy przez dziesięć lat widzieli nagość króla i pod przymusem obcmokiwali przepych jego szat — to dobrze. Jeżeli natomiast krzyczą ludzie, którzy w szaty królewskie wierzyli naprawdę — to źle, to bardzo źle i należy się ich wystrzegać. Należy się wystrzegać rozmaitych filozofów i teoretyków socrealizmu przyznających teraz półgębkiem że „popełniano w przeszłości błędy", gdyż w gruncie rzeczy wierzą oni tylko częściowo i wbrew samym sobie w to co dziś muszą mówić, uważają ożywczy wiatr na sali obrad XIX sesji za czasowy manewr taktyczny. Są to ludzie marzący w rzeczywistości o powrocie do atmosfery przed „trzęsieniem ziemi", bo zawdzięczali jej swoją pozycję, swoje przywileje i swoją władzę nadętych zer nad pisarzami sprowadzonymi do roli posłusznych numerów. Nie chcę tu skrzywdzić Kotta, — nie należy on moim zdaniem w stu procentach do najgorszej kategorii zakutych łbów komunistycznych, — ale rysunek, którym ozdobiono jego referat programowy, jest bardzo trafny. Właśnie o to chodzi. Sam Kott też był przez dziesięć lat nagi, gdy zapewniał wszystkich że wynalazł receptę na „nowy realizm" i jako doskonałą próbkę tego realizmu wskazywał szmirę Kuśmierka „Rok 1944". Musi się dziś czuć nieswojo, słuchając głosów domagających się rehabilitacji Armii Krajowej w imię prawdziwego realizmu.

Kott napisał książkę p.t. „Mitologia i realizm". Jego referat na XIX sesji nosił nazwę „Mitologia i prawda". Miało to przypuszczalnie oznaczać że zalecany dotąd przez Kotta „nowy realizm" nie zgadzał się dziwnym zbiegiem okoliczności z prawdą. „Literatura — obwieścił teraz zebranym swoje nowe odkrycie wieczny wynalazca i piewca „przygód intelektualnych" — której nie wolno było mówić o zbrodniach, literatura która musiała milczeć o procesach wstrząsających sumieniem i stanowiących codzienną rzeczywistość wielu lat, literatura która miała zamknięte usta, musiała brnąć coraz dalej i głębiej w kłamstwo, tworzyć coraz bardziej fikcyjną wizję rzeczywistości". Brawo. Cały dowcip jedynie w tym że nie Kott był najbardziej powołany do ogłoszenia dzisiaj „ex cathedra" XIX sesji tej najnowszej prawdy jeszcze nowszego realizmu. Że referat programowy powinien był wygłosić zamiast niego — powiedzmy — Sandauer. A jeśli *nawet* Kott nie nadawał się na dyrygenta chóru udręczonych i przykutych do galery w pierwszych dniach „trzęsienia ziemi", to tym mniej zasługiwali na otrzymanie w tym chórze partii solowych Putrament, Sokorski i Żółkiewski. O nich pomówimy osobno.

Pomysł powierzenia Kottowi referatu programowego nie uszedł organizatorom i prelegentowi na sucho, i to właśnie uważam za największą zdobycz XIX sesji; rysunek w „Przeglądzie Kulturalnym" nie był tylko doskonałym żartem karykaturzysty — podsumowywał dokładnie ton większości wypowiedzi w dyskusji. „Kott jest nagi!" — krzyczano z lewa i z prawa, i bardzo dobrze że tak krzyczano. Daje to jaką taką gwarancję że w obecnej fazie roztopów toczy się słuszna i rozumna walka o niepomieszanie czystych strumieni z błotem, o niedopuszczenie do tej brudnej, mętnej, przedwiosennej zupy, w której najchętniej łowią ryby wędkarze zaopatrzeni jedynie w sztuczne przynęty.

Estreicher wyprosił sobie w referacie Kotta formę „my": myśmy popełnili błędy, myśmy nie docenili należycie, myśmy tępili lub faworyzowali niesłusznie. Zdemaskowany w swojej nagości król nie ma prawa do „pluralis majestaticus", a tym bardziej — do liczby mnogiej demokratycznej. Sandauer ujął w swoim wystąpieniu trafnie sytuację, mówiąc że prawo do naprawiania maszyny mają nie tylko ci co ją zepsuli. Posunąłbym się jeszcze dalej: prawa do naprawiania maszyny nie powinni *w ogóle* mieć ci co ją zepsuli. Bo ją znowu zepsują. Bo będą sabotowali i opóźniali wszelkimi dostępnymi środkami jej naprawę. Bo ukryją bardziej precyzyjne części i powiedzą że nie można ich „na obecnym etapie historii" wytworzyć w Kraju. Bo nasypią piasku do oliwy i powkładają drągi między szprychy kół napędowych. „Z XIX sesji — powiedział Sandauer — trzeba wysnuć wnioski praktyczne, dotyczące reorganizacji życia artystycznego. Do zmian organizacyjnych i personalnych należy przystąpić natychmiast: nie są one trudne do przeprowadzenia".

Najostrzej zaatakował sam fakt powierzenia Kottowi referatu programowego Słonimski, ale ten fragment jego przemówienia zagubił się gdzieś w drodze do drukarni „Przeglądu Kulturalnego". (Od podróżników zagranicznych którzy wrócili niedawno z Polski słyszę że Kott dosłownie przechorował to wystąpienie Słonimskiego). Nawet jednak w przystrzyżonym nożycami redaktorskimi tekście wypowiedzi Słonimskiego jest pewna myśl zasługująca na uwagę. Powiedział on że poniektórzy luminarze filozoficzni epoki stalinowskiej próbują teraz zwalić winę za błędy minionego okresu na kult jednostki. Wskazał przy tym palcem głównego teoretyka marxizmu prof. Schaffa. „Przemyślmy to sformułowanie do końca — dodał autor „Moich walk nad Bzdurą". — Przede wszystkim nie kult jednostki, ale jednostka. Po drugie, nie jednostka ale *system*, który umożliwia takie szkodliwe działanie jednostki".

Heretyk, któremu po dziesięcioletniej emeryturze komunistycznej udało się znowu wgramolić na ambonę, dotknął tu najczulszego nerwu. Jeżeli obecne chwiejne roztopy mają doprowadzić do jakiego takiego ustabilizowania się lepszej pogody, trzeba przenieść walkę z dyskusji o zbrodniach Stalina na dyskusję o systemie. Prof. Schaff nie może się *i tym razem* wyślizgnąć jak piskorz z opresji. To on przecież, główny teoretyk marxizmu, wynosił niegdyś pod niebiosa w „Kuźnicy" poglądy lingwistyczne językoznawcy sowieckiego prof. Marra. To on później, gdy Stalin potępił z wysokości swojego „geniuszu naukowego" teorie Marra, napisał z kolei w „Nowej Kulturze" artykuł okadzający bezwstydnie „epokową pracę Stalina o lingwistyce". Prof. Schaff nie może się dzisiaj tłumaczyć że czegoś nie wiedział, że dopiero Chruszczew otworzył mu oczy. W sprawie o której mówimy nie chodziło o odsłonięte teraz oficjalnie kulisy procesów moskiewskich, wielkich czystek czy spisku Tuchaczewskiego. Chodziło w niej o dwa teksty — jeden naukowy a drugi pseudonaukowy — które otrzymał do oceny „główny teoretyk marxiz-

mu w Polsce". Wiemy jak ta ocena wypadła. Dziś więc należy dyskutować w środowiskach intelektualnych w Kraju nie o kulcie Stalina, lecz o kulcie prof. Schaffa i marxizmu.

W dyskusji zabrał raz jeszcze głos Kott, „Przegląd Kulturalny" nie znalazł już jednak niestety miejsca na uwiecznienie tego co powiedział. Zapytany, „jaka jest teraz sytuacja w sztuce", Kott odpowiedział z właściwą mu bystrością umysłu i rezolutnością że nie wiadomo jaka i że trzeba czekać. Nie wolno czekać — zareplikował Przyboś i dodał: „Oto co czynić należy: dać głos przede wszystkim tym, którzy nie ulegli ogłupieniu lub cynizmowi, którzy nie byli gorliwymi oportunistami, przedstawiającymi dziś swój oportunizm jako bohaterstwo".

Naturalnie obecne „trzęsienie ziemi" musi się w pierwszym okresie ograniczyć wyłącznie do dyskutowania, do otwierania okien i wyrzucania na ulicę śmieci intelektualnych, do wygadania się za wszystkie czasy i wydezynfekowania bibliotek, teatrów, galerii malarskich i sal koncertowych z brecht socrealistycznych. Ale ten zrozumiały odruch pochorobowy nie załatwia sprawy. O trwałości lub nietrwałości obecnego okresu zadecydują nie wiosenne porządki po odwilży, lecz to czy i jak będzie można teraz w Kraju pisać, malować i komponować. Dzieła sztuki nie powstają z dnia na dzień na kolanie, i trzeba będzie poczekać co najmniej dwa lata, zanim się okaże jaka jest realna wartość zmian odgórnych w dole, zanim czytelnicy dostaną do rąk nowe książki, na wystawach zjawią się nowe obrazy, ze scen popłyną słowa nowych sztuk a z estrad koncertowych dźwięki nowych utworów muzycznych. Co robić tymczasem aby utrzymać ten ożywczy powiew pewnej swobody? Jest na to bardzo prosty sposób. Od lat leżą w szufladach wielu pisarzy rękopisy, które nie mogły być wydane. Od lat wiszą w pracowniach wielu malarzy obrazy, które nie mogły być wystawione. Od lat żółkną w tekach wielu kompozytorów utwory, które nie mogły być odegrane. Teraz przyszła na nie pora. Roztopy powinny być okresem przywrócenia głosu niemowom ubiegłego dziesięciolecia stalinowskiego.

### BUNT KORZENI PRZECIW ZWIĘDŁYM KWIATOM

Jedną z najważniejszych, a może nawet jedyną rękojmią że barometr miałby ogromne trudności ze spłataniem nowego figla i opadnięciem poniżej zera, jest głęboki wstrząs, jaki dokonał się wśród młodych sympatyków komunizmu. To z myślą o nich użyłem zwrotu o „rewolucji psychicznej", której pewne elementy nie mogą się już odstać.

Przed miesiącem rozmawiałem w Rzymie z włoskim uczonym, którego zaproszono do Warszawy na sesję mickiewiczowską. „Panie, — przyczepił się do niego w Warszawie jakiś wybitny komunista polski — niech mi pan wytłumaczy dlaczego komuniści włoscy tak długo uwielbiali Stalina, jeżeli nikt ich do tego nie zmuszał?". Był to oczywiście komunista starej daty. Nie rozumiał jak można było uwielbiać Stalina bez przystawionej do skroni lufy pistoletu, bo *jemu* niepotrzebne były rewelacje Chruszczewa, bo *on* „plus minus" wiedział wszystko już dawniej sam i modlił się przed stalinowską ikoną jedynie ze strachu lub cynizmu. Zostawmy na boku komunistów włoskich: nasz biedny komunista polski nie zrozumie i tego że Togliatti musi dziś dosłownie walczyć z partią, która otoczyła jak jeden mąż portret zmarłego wodza, i na wiecach przedwyborczych (byłem niedawno obecny na jednym z takich wieców w Neapolu) używa kompromisowej formuły oddającej „sprawiedliwość wielkości historycznej Stalina". W przytoczonym przykładzie istotne dla nas jest tylko to że dla polskiego komunisty starej daty rewelacje Chruszczewa były wyłącznie wstrząsem politycznym, skompromitowały go do reszty w oczach antykomunistycznego społeczeństwa. Dla wielu młodych ludzi jednak, którzy często nie znali rzeczywiście całej prawdy i poznali ją dopiero teraz z „broszury dla dorosłych" (tak w Polsce nazwano na cześć poematu Ważyka „informację tow. Chruszczewa" p.t. „O kulcie jednostki i jego następstwach"), był to wstrząs moralny i psychiczny.

To ci młodzi ludzie właśnie nie chcą się dziś zatrzymać na „kulcie jednostki i jego następstwach", lecz sięgają do jego *przyczyn*. To oni dyskutują o komunistycznych zasadach organizacji życia gospodarczego, o nieopłacalności wysokiej wydajności w ustroju komunistycznym, o braku biurokratyzmu, o nonsensach „współzawodnictwa socjalistycznego", o nieproporcjonalnie wysokim nakładzie kosztów własnych w stosunku do wytwórczości, o monstrualnym uklasowieniu „społeczeństwa bezklasowego", o „centralizmie demokratycznym" i nędzy szerokich mas, o nienawiści robotników do reżymu, o klęsce kołchozów na wsi. To oni żądają rachunku za wieloletnie opluwanie A. K. i pytają *w prasie* co robili Rosjanie za Wisłą, kiedy samoloty angielskie próbowały nieść pomoc Warszawie z dalekich baz w Bari. To oni skarżą się w listach do „Nowej Kultury" że „mają dusze niewolników gdyż są wychowani przez wojnę i przez pisarzy komunistycznych". To oni ostrzegają w „Nowej Kultu-

był obsypywany nagrodami i wydawany w setkach tysięcy egzemplarzy, pisał przemówienia dla Stalina, stał na straży czujności linii partyjnej, wyrokował bezapelacyjnie co jest dobre a co złe w utworach jego kolegów po piórze. W nocy z 12 na 13 maja umarł człowiek, którego Szołochow nazwał na XX kongresie „dyrektorem martwych dusz". Po wymordowaniu przez Stalina starej gwardii leninowskiej przyszła kolej na samobójczą śmierć piewcy „Młodej Gwardii" stalinowskiej.

W atmosferze popłochu i zakłopotania, jakie ten strzał wywołał w Moskwie, podano najpierw do wiadomości wersję że Fadiejew umarł na atak serca. Tass musiał w końcu ujawnić prawdę, dodając do niej używane zwykle w takich wypadkach zdanie o „kryzysie depresji alkoholicznej". Usłużni rzecznicy sowieckiego ministerstwa kultury dostarczyli nawet dziennikarzom zagranicznych niezbitych dowodów tej depresji alkoholicznej: oto Fadiejew nie przychodził w ostatnich czasach na zebrania literackie i nic nie pisał. Przypuszczalnie tak było naprawdę: Fadiejew nie przychodził na zebrania literackie i nic nie pisał. Ale z innych powodów. Wódka nie przeszkadzała dotąd pisarzom sowieckim przychodzić na zebrania i pisać, raczej im pomagała. Fadiejew nie chciał po prostu brać udziału w zbiorowym, chóralnym oblewaniu pomyjami swego mistrza. Jego samobójcza śmierć nie jest więc pozbawiona cech tragizmu, wierności i przede wszystkim — logiki.

Od lat uważam Putramenta za coś w rodzaju polskiego Fadiejewa, a on sam nie omijał nigdy żadnej sposobności by swoim podopiecznym literackim w Kraju postawić na wzór autora „Młodej Gwardii". Co zrobił Putrament po przeczytaniu „broszury dla dorosłych"? Popadł w stan „depresji alkoholicznej"? Nic na to nie wskazuje. Nie przychodzi na zebrania literackie w Warszawie i nie pisze? Wprost przeciwnie — pisze więcej niż kiedykolwiek i był jednym z nielicznych bałwanów z okresu zimy stalinowskiej, którzy nie przestraszyli się roztopienia na oczach publiczności w nagrzanej sali XIX sesji Rady Kultury i Sztuki. Ale chytrus z niego nielada i z niejednej już opresji w życiu wylazł cało nie powąchawszy prochu, toteż i tym razem wymyślił wcale dowcipny fortel. Najpierw wziął półgębkiem — rzecz prosta, tylko półgębkiem! — w obronę „mit Stalina", by ukryć zbyt oczywisty i niewygodny na froncie fakt że znajduje się w panicznej defensywie. Po czym, zarobiwszy trochę na czasie, oświadczył z pogodniejszym już i bardziej marsowym obliczem gromadzie nacierających harcowników że znajduje się ona w „panicznej ofensywie". Ponieważ nikt dotychczas w pierwszych potyczkach odwilżowych nad Bzdurą takiego cudacznego terminu wojennego nie słyszał, wszyscy rozdziawili gęby z wrażenia i opuścili jak jeden mąż podniesione do ciosu włócznie. W to graj Zagłobie! Otarł pot z czoła, nabrał tchu i ile sił w piersiach krzyknął: „Panowie szlachta, towarzysze, obywatele! O co się spierać i kruszyć kopie? Przecież wszyscy jesteśmy komunistami. Przecież nawet Maria Dąbrowska napisała komunistyczne opowiadanie „Na wsi wesele". W górę serca i czerwony sztandar Marii Dąbrowskiej! Kochajmy się!".

Taki mniej więcej jest sens artykułu „Paniczna ofensywa" w „Przeglądzie Kulturalnym", którym Putrament próbuje się wywinąć obławie w ślepej uliczce im. Aleksandra Fadiejewa. Nie sądzę aby rozdziawione niespodzianką gęby pozostały rozdziawione zbyt długo. Jeżeli to zrobią, grozi im wyskoczenie szczęk ze stawów i będą musiały łykać znowu tylko to co im Putrament łaskawie na język położy. Zagadnienie trwałości lub nietrwałości buntu artystów polskich w Kraju, zapoczątkowanego przez XIX sesję, wygląda nadal tak jak je sformułował Sandauer: „Do zmian organizacyjnych i personalnych należy przystąpić natychmiast; nie są one trudne do przeprowadzenia". Te zmiany muszą utrzymać siłę i temperaturę natarcia dostatecznie wysoką, by Putramentom zabrakło czasu na odsapnięcie i zatrzymanie się w panicznej *defensywie*.

### BRACIA SJERIEBRIAKOW

Skomentowanie przytoczonych przeze mnie listów młodych i rozczarowanych sympatyków komunizmu powierzyła redakcja „Nowej Kultury" młodemu pisarzowi komunistycznemu Andrzejowi Braunowi. „Po raz pierwszy — pisze on — obserwujemy całkowite zespolenie się olbrzymiej większości naszego narodu wobec tych samych spraw, tych samych zagadnień, wobec spraw dotyczących ich życia, ich losów, ich kraju, ich historii, ich praw i godności osobistej... Chodzi tylko o to, żeby ten front narodowy był rzeczywiście pod kierunkiem partii". Czy można sobie wyobrazić większą obłudę i niedorzeczność? Przecież to zespolenie się nastąpiło *wskutek* ujawnienia działalności partii, przecież ten front narodowy istniał od dawna *na przekór* partii a dał o sobie znać dopiero dzisiaj *dzięki* rozluźnieniu się obroży partyjnej — i jak gdyby nigdy nic partia miałaby mu teraz przewodzić?

Jest to postawa samoobronna, którą na XIX sesji próbowali zająć bracia Sokorski i Żółkiewski. Przy-
mina ...

stów do reżymu. Jest to nazwa klasyczna w swojej zwięzłości i prostocie i należy ją stosować do wszystkich systemów totalnych.

Najciekawszym dla mnie (oczywiście nie literacko) utworem odwilży w Polsce do XX kongresu było krótkie opowiadanko Brandysa w „Nowej Kulturze" p.t. „Zielony kapelusz" (weszło ono później jako jeden z rozdziałów do głośnej „Obrony Grenady"). Dwóch wysokich urzędników komunistycznych wyjeżdża w misji służbowej do zachodniego Berlina. Jeden z nich marzy o kupieniu sobie zielonego „kapitalistycznego" kapelusza, ale boi się swojego towarzysza. Wreszcie decyduje się na ten szaleńczo odważny krok. Wychodzi ze sklepu i staje oko w oko ze swoim towarzyszem podróży. Chowa czym prędzej kapelusz za siebie i rozmawiają o nędzy świata kapitalistycznego. Nagle spada deszcz i obaj jak na komendę wyciągają ukryte za plecami dwa takie same zielone kapelusze kapitalistyczne.

To opowiadanko wydało mi się tak typowe że pisząc dla miesięcznika Silone „Il Tempo Presente" artykuł o odwilży literackiej w Polsce i na Węgrzech do XX kongresu, nazwałem go „Il Cappello verde". Pisarze polscy i węgiersscy wyciągnęli ze schowków swoje zielone kapelusze zobaczywszy je na głowach pisarzy sowieckich, lecz ukryli je znowu szybko za plecami kiedy wybuchł skandal z Ważykiem i przyszła rezolucja potępiająca prawicowe odchylenie w literaturze węgierskiej. Teraz, po „broszurze dla dorosłych", zielone kapelusze powiewają tryumfalnie w powietrzu. Ale ich historia i przebieg XIX sesji dowodzi że strach, strach i tylko strach tkwił u źródła zachowania się intelektualistów polskich w ciągu minionego dziesięciolecia. Nie żaden „Ketman" i „Murti-Bing": zwykła ludzka „la Grande Paura".

Kiedy w „Wiadomościach" jako Lector wskazywałem że „Zniewolony umysł" Miłosza jest błyskotliwą koncepcją bez pokrycia, świetnym pomysłem essayistycznym który porwał autora każąc mu zapomnieć o modelu, że sprawy są prostsze (choć mniej efektowne) i ich wytłumaczenia należy szukać nie u Gobineau i nie u Witkacego lecz w teorii odruchów warunkowych Pawłowa (zwłaszcza w rozdziale o ślinieniu się głodnych psów), powiedziano mi że jestem niesprawiedliwy. Utwierdzałem się mimo to w moim przekonaniu ilekroć zdarzyło mi się później spotkać pisarzy krajowych na kongresach międzynarodowych. Teraz widać ile wart był Ketman i Murti-Bing. i cieszę się niezmiernie że przyznał to otwarcie K. A. Jeleński w znakomitym artykule na łamach „Kultury". Był to jeden z licznych rachunków intelektualnych bez gospodarza. Okazało się że ludzie bablali o „Nowej Wierze" nie dlatego że ich podbiła, ale dlatego że się jej bali i że lepiej jest zawsze poddać się własnemu strachowi z komentarzem filozoficznym, niż z jawnym dygotaniem łydek i kropelkami potu na czole. Kto czytał „Zniewolony umysł" żeby się dowiedzieć co myślą intelektualiści w Kraju, stracił czas. Kto go czytał jako dzieło wyobraźni pisarskiej, inteligencji i niepospolitego talentu, wróci doń jeszcze niejednokrotnie.

Jeleński pisze o artykule Wertha, który po rozmowach z paroma ofiarami procesów moskiewskich doszedł do wniosku że przyznawali się oni do winy nie dlatego że ich przekonał Gletkin, ale dlatego że ich torturował Jagoda czy Jeżow. Weissberg-Cybulski, ilekroć rozmawiałem z nim o „Ciemności w południe", wzruszał ramionami i z właściwym mu zdrowym rozsądkiem człowieka mądrego mówił: „Przyznawali się, proszę pana, bo ich bili, bo ich po prostu bili i głodzili". Kto czytał powieść Koestlera jako klucz do zagadki procesów moskiewskich, stracił czas. Kto ją czytał jako arcydzieło sztuki pisarskiej, wróci do niej jeszcze niejednokrotnie.

XIX sesja powinna rozwiązać w niektórych emigrantach jeszcze jeden kompleksik. Obawa oddalenia się od Kraju wzbudza w wielu miałkich mózgach potrzbę padania plackiem przed każdą trochę lepszą książką wydaną w Polsce z okrzykiem: „Widzicie?! Jednak, jednak!". Trzeba zachować miarę i znać szyfr. Jeżeli w Kraju tyle było hałasu dokoła „Obrony Grenady", to nie dlatego że (jak ktoś dowodził na emigracji) jest to świetne i śmiałe opowiadanie, ale dlatego że ten mistrz politury socrealistycznej jakim jest Brandys wymyślił dla mniej odpornych na skoki barometru środek przeciw zaziębieniom w czasie odwilży: bohaterski oportunizm. Wartość literacką tego utworu określił bezbłędnie z matematyczną precyzją krytyk tak wrażliwy jak Sandauer w dwóch słowach: „grafomańskie opowiadanko". Jeżeli w Kraju podniesiono taki krzyk po noweli Dąbrowskiej „Na wsi wesele" i Andrzejewski umieścił ją na pierwszym miejscu swojej listy najlepszych utworów dziesięciolecia, to nie dlatego że jest to arcydzieło (bo nie jest), ale dlatego że to przyzwoicie napisane opowiadanie realistyczne z dobrego warsztatu pisarskiego może być dobrą lekcją dla wielu wyrostków socrealistycznych nie mających pojęcia jakie jest abc prawdziwego realizmu. Na emigracji więc (gdzi-
takich wyjątkow...

ANTO

Do

Czytelni
zajmowała
wyjątkowa
trudno by
nego czy
Prawem
wybrany
uważany
łej akade
Po wybor
stości ku
dał swoje
wprawdzie
ków Czyt
przekonan
nikiem pr
chylał się
czył się z
którego g
dali dawni
miary co
sław Starz
nawet pow
licji, równ
prof. Leon
Rola, ja
krótkim z
wa w r. 18
czasy —
sprawie na
równo na
rej „Strzel
wybitnie
łyczakowsk
ny że wys
miki idą n
roiły się
wym do s
broniącą g
baczył aby
i przedwcze

JA
I-AD

W r. 18
sytet lwow
członka Czy
poszedłem
czyli przec
na grunt
niemieckich
kolegów w
Leszczyńsk
niałej posta
i doniosłym
kilku stars
kreślając że
zachowanie
czaju jest
politycznej
ten obyczaj
odparte. Le
wagą szern
ruch, każde
przystąpił
abym naza
ni, bo chcia
mem Skałk
prezesa, kt
prezesem C
słychane: Sa
pierwszorc

Po okaz
nie ze Sk
rować. Mi
o twarzy
czym szc
oczach jal
nie wydaw
młodych.
studia i
dził na se
Tadeusza
w wykład
fundamen
Odprow
Wały do
skiego, g
prawnym,
zesów i
— Naj
naszego
kowski —
syn dyre
prezesa.
przed Les
szym p
„Przegląd
— Nie
wtrąciłem
— Nic
tu dla K
granicę,
nie i gd
sury Pop
sił progr
demokrat
za najbli
ży lwows
— A
wie do t
pytałem.
— Tru
two tuta
kto tu j
dr Ernes
organizat
Pawlikow
sor w D
Słowacki
[Francisz
zięć Miłk
ku innyc
— Ale
two tuta
— Dot
go Lesz
munda
ku ludow
lesławow
ryerowi
— A
lega, obj

... czytelnicy dostaną do rąk nowe książki, na wystawach zjawią się nowe obrazy, ze scen popłyną słowa nowych sztuk a z estrad koncertowych dźwięki nowych utworów muzycznych. Co robić tymczasem aby utrzymać ten ożywczy powiew pewnej swobody? Jest na to bardzo prosty sposób. Od lat leżą w szufladach wielu pisarzy rękopisy, które nie mogły być wydane. Od lat wiszą w pracowniach wielu malarzy obrazy, które nie mogły być wystawione. Od lat żółkną w tekach wielu kompozytorów utwory, które nie mogły być odegrane. Teraz przyszła na nie pora. Roztopy powinny być okresem przywrócenia głosu niemowom ubiegłego dziesięciolecia stalinowskiego.

### BUNT KORZENI PRZECIW ZWIĘDŁYM KWIATOM

Jedną z najważniejszych, a może nawet jedyną rękojmią że barometr miałby ogromne trudności ze spłatami nowego figla i opadnięciem poniżej zera, jest głęboki wstrząs, jaki dokonał się wśród młodych sympatyków komunizmu. To z myślą o nich użyłem zwrotu o „rewolucji psychicznej", której pewne elementy nie mogą się już odstać.

Przed miesiącem rozmawiałem w Rzymie z włoskim uczonym, którego zaproszono do Warszawy na sesję mickiewiczowską. „Panie, — przyczepił się do niego w Warszawie jakiś wybitny komunista polski — niech mi pan wytłumaczy dlaczego komuniści włoscy tak długo uwielbiali Stalina, jeżeli nikt ich do tego nie zmuszał?". Był to oczywiście komunista starej daty. Nie rozumiał jak można było uwielbiać Stalina bez przystawionej do skroni lufy pistoletu, bo *jemu* niepotrzebne były rewelacje Chruszczewa, bo *on* „plus minus" wiedział wszystko już dawniej sam i modlił się przed stalinowską ikoną jedynie ze strachu lub cynizmu. Zostawmy na boku komunistów włoskich: nasz biedny komunista polski nie zrozumie i tego że Togliatti musi dziś dosłownie walczyć z partią, która otoczyła jak jeden mąż portret zmarłego wodza, i na wiecach przedwyborczych (byłem niedawno obecny na jednym z takich wieców w Neapolu) używa kompromisowej formuły oddającej „sprawiedliwość wielkości historycznej Stalina". W przytoczonym przykładzie istotne dla nas jest tylko to że dla polskiego komunisty starej daty rewelacje Chruszczewa były wyłącznie wstrząsem politycznym, skompromitowały go do reszty w oczach antykomunistycznego społeczeństwa. Dla wielu młodych ludzi jednak, którzy często nie znali rzeczywiście całej prawdy i poznali ją dopiero teraz z „broszury dla dorosłych" (tak w Polsce nazwano na cześć poematu Ważyka „informację tow. Chruszczewa" p.t. „O kulcie jednostki i jego następstwach"), był to wstrząs moralny i psychiczny.

To ci młodzi ludzie właśnie nie chcą się dziś zatrzymać na „kulcie jednostki i jego następstwach", lecz sięgają do jego *przyczyn*. To oni dyskutują o komunistycznych zasadach organizacji życia gospodarczego, o nieopłacalności wysokiej wydajności w ustroju komunistycznym, o braku biurokratyzmu, o nonsensach „współzawodnictwa socjalistycznego", o nieproporcjonalnie wysokim nakładzie kosztów własnych w stosunku do wytwórczości, o monstrualnym uklasowieniu „społeczeństwa bezklasowego", o „centralizmie demokratycznym" i nędzy szerokich mas, o nienawiści robotników do reżymu, o klęsce kołchozów na wsi. To oni żądają rachunku za wieloletnie opluwanie A. K. i pytają *w prasie* co robili Rosianie za Wisłą, kiedy samoloty angielskie próbowały nieść pomoc Warszawie z dalekich baz w Bari. To oni skarżą się w listach do „Nowej Kultury" że „mają dusze niewolników gdyż są wychowani przez wojnę i przez pisarzy komunistycznych". To oni ostrzegają w „Nowej Kulturze", że „nie umieją po raz czwarty zmieniać swojej duszy bez obawy że stanie się ona szmatą", i zwracają się do „literatów, pisarzy, specjalistów od ludzkiej duszy" z trzema pytaniami: „Ile rozczarowań może przeżyć normalny człowiek? Ile razy w ciągu całego życia może generalnie zmienić swoje poglądy? Ile razy może zwątpić o wszystkim?".

Jest to bunt żywych korzeni przeciw zwiędłym kwiatom. Nie chcą one już dawać soków kwiatom, które w ciągu dziesięciu lat przerabiały je na truciznę zapewniając że to miód. Żądają ich skoszenia.

### FADIEJEW I PUTRAMENT

Strzał, który rozległ się w Moskwie późną nocą z 12 na 13 maja, będzie kiedyś w historii destalinizacji literatury sowieckiej tematem osobnego dramatycznego rozdziału. Tym strzałem odebrał sobie życie w moskiewskim mieszkaniu Fadiejew, najwybitniejszy przedstawiciel pokolenia pisarzy wychowanych już całkowicie przez Stalina. Ten strzał zakończył błyskotliwą karierę człowieka, który na oficjalnych galówkach zjawiał się z piersią udekorowaną orderami, rządził Związkiem Pisarzy Sowieckich, ...giki.

Od lat uważam Putramenta za coś w rodzaju polskiego Fadiejewa, a on sam nie omijał nigdy żadnej sposobności by swoim podopiecznym literackim w Kraju postawić na wzór autora „Młodej Gwardii". Co zrobił Putrament po przeczytaniu „broszury dla dorosłych"? Popadł w stan „depresji alkoholicznej"? Nic na to nie wskazuje. Nie przychodzi na zebrania literackie w Warszawie i nie pisze? Wprost przeciwnie — pisze więcej niż kiedykolwiek i był jednym z nielicznych bałwanów z okresu zimy stalinowskiej, którzy nie przestraszyli się roztopienia na oczach publiczności w nagrzanej sali XIX sesji Rady Kultury i Sztuki. Ale chytrus z niego nielada i z niejednej już opresji w życiu wylazł cało nie powąchawszy prochu, toteż i tym razem wymyślił wcale dowcipny fortel. Najpierw wziął półgębkiem — rzecz prosta, tylko półgębkiem! — w obronę „mit Stalina", by ukryć zbyt oczywisty i niewygodny na froncie fakt że znajduje się w panicznej defensywie. Po czym, zarobiwszy trochę na czasie, oświadczył z pogodniejszym już i bardziej marsowym obliczem gromadzie nacierających harcowników że znajduje się ona w „panicznej ofensywie". Ponieważ nikt dotychczas w pierwszych potyczkach odwilżowych nad Bzdurą takiego cudacznego terminu wojennego nie słyszał, wszyscy rozdziawili gęby z wrażenia i opuścili jak jeden mąż podniesione do ciosu włócznie. W to graj Zagłobie! Otarł pot z czoła, nabrał tchu i ile sił w piersiach krzyknął: „Panowie szlachta, towarzysze, obywatele! O co się spierać i kruszyć kopie? Przecież wszyscy jesteśmy komunistami. Przecież nawet Maria Dąbrowska napisała komunistyczne opowiadanie „Na wsi wesele". W górę serca i czerwony sztandar Marii Dąbrowskiej! Kochajmy się!".

Taki mniej więcej jest sens artykułu „Paniczna ofensywa" w „Przeglądzie Kulturalnym", którym Putrament próbuje się wywinąć obławie w ślepej uliczce im. Aleksandra Fadiejewa. Nie sądzę aby rozdziawione niespodzianką gęby pozostały rozdziawione zbyt długo. Jeżeli to zrobią, grozi im wyskoczenie szczęk ze stawów i będą musiały łykać znowu tylko to co im Putrament łaskawie na język położy. Zagadnienie trwałości lub nietrwałości buntu artystów polskich w Kraju, zapoczątkowanego przez XIX sesję, wygląda nadal tak jak je sformułował Sandauer: „Do zmian organizacyjnych i personalnych należy przystąpić natychmiast; nie są one trudne do przeprowadzenia". Te zmiany muszą utrzymać siłę i temperaturę natarcia dostatecznie wysoką, by Putramentom zabrakło czasu na odsapnięcie i zatrzymanie się w panicznej *defensywie*.

### BRACIA SJERIEBRIAKOW

Skomentowanie przytoczonych przeze mnie listów młodych i rozczarowanych sympatyków komunizmu powierzyła redakcja „Nowej Kultury" młodemu pisarzowi komunistycznemu Andrzejowi Braunowi. „Po raz pierwszy — pisze on — obserwujemy całkowite zespolenie się olbrzymiej większości naszego narodu wobec tych samych spraw, tych samych zagadnień, wobec spraw dotyczących ich życia, ich losów, ich kraju, ich historii, ich praw i godności osobistej... Chodzi tylko o to, żeby ten front narodowy był rzeczywiście pod kierunkiem partii". Czy można sobie wyobrazić większą obłudę i niedorzeczność? Przecież to zespolenie się nastąpiło *wskutek* ujawnienia działalności partii, przecież ten front narodowy istniał od dawna *na przekór* partii a dał o sobie znać dopiero dzisiaj *dzięki* rozluźnieniu się obroży partyjnej — i jak gdyby nigdy nic partia miałaby mu teraz przewodzić?

Jest to postawa samoobronna, którą na XIX sesji próbowali zająć bracia Sokorski i Żółkiewski. Przypomina mi ona „Wujaszka Wanię" Czechowa. Stara pijawka profesor Sjeriebriakow chce sprzedać majątek i puścić z torbami wszystkich swoich krewniaków i domowników, byle tylko jemu samemu na niczym nie zbywało w mieście. Natrafia na niespodziany opór wujaszka Wani, który w ciągu dwudziestu pięciu lat przywykł zdawałoby się do jego tyranii i wyzysku i wielbił go jak półboga, uważając metną grafomanię rzekomego „filozofa sztuki" za objawienie. „Chciałem przecież waszego dobra — wycofuje się stary satrapa. — ale jeżeli wam się to nie podoba, niech wszystko zostanie jak było... Najważniejsze żeby nikt nie obrażał mojego autorytetu w rodzinie"... Doprowadzony do ostateczności wujaszek Wania strzela dwa razy do Sjeriebriakowa i chybia. Przed wyjazdem profesora obcmokują się obaj z dubeltówki.

Takie idylliczne sceny pogodzenia zdarzają się może w Rosji, ale są one dość trudne do pomyślenia w Polsce.

### LA GRANDE PAURA

W okresie dwudziestolecia faszyzmu wymyślono we Włoszech nazwę „la Grande Paura (Wielki Strach)" na określenie stosunku intelektuali... ...szurze dla dorosłych", zielone ... lusze powiewają tryumfalnie w powietrzu. Ale ich historia i przebieg XIX sesji dowodzi że strach, strach i tylko strach tkwił u źródła zachowania się intelektualistów polskich w ciągu minionego dziesięciolecia. Nie żaden „Ketman" i „Murti-Bing"; zwykła ludzka „la Grande Paura".

Kiedy w „Wiadomościach" jako Lector wskazywałem że „Zniewolony umysł" Miłosza jest błyskotliwą koncepcją bez pokrycia, świetnym pomysłem essayistycznym który porwał autora każąc mu zapomnieć o modelu, że sprawy są prostsze (choć mniej efektowne) i ich wytłumaczenia należy szukać nie u Gobineau i nie u Witkacego lecz w teorii odruchów warunkowych Pawłowa (zwłaszcza w rozdziale o ślinieniu się głodnych psów), powiedziano mi że jestem niesprawiedliwy. Utwierdzałem się mimo to w moim przekonaniu ilekroć zdarzyło mi się później spotkać pisarzy krajowych na kongresach międzynarodowych. Teraz widać ile wart był Ketman i Murti-Bing, i cieszę się niezmiernie że przyznał to otwarcie K. A. Jeleński w znakomitym artykule na łamach „Kultury". Był to jeden z licznych rachunków intelektualnych bez gospodarza. Okazało się że ludzie bablali o „Nowej Wierze" nie dlatego że ich podbiła, ale dlatego że się jej bali i że lepiej jest zawsze poddać się własnemu strachowi z komentarzem filozoficznym, niż z jawnym dygotaniem łydek i kropelkami potu na czole. Kto czytał „Zniewolony umysł" żeby się dowiedzieć co myślą intelektualiści w Kraju, stracił czas. Kto go czytał jako dzieło wyobraźni pisarskiej, inteligencji i niepospolitego talentu, wróci doń jeszcze niejednokrotnie.

Jeleński pisze o artykule Wertha, który po rozmowach z paroma ofiarami procesów moskiewskich doszedł do wniosku że przyznawali się oni do winy nie dlatego że ich przekonał Gletkin, ale dlatego że ich torturował Jagoda czy Jeżow. Weissberg-Cybulski. Ilekroć rozmawiałem z nim o „Ciemności w południe", wzruszał ramionami i z właściwym mu zdrowym rozsądkiem człowieka mądrego mówił: „Przyznawali się, proszę pana, bo ich bili, bo ich po prostu bili i głodzili". Kto czytał powieść Koestlera jako klucz do zagadki procesów moskiewskich, stracił czas. Kto ją czytał jako arcydzieło sztuki pisarskiej, wróci do niej jeszcze niejednokrotnie.

XIX sesja powinna rozwiązać w niektórych emigrantach jeszcze jeden kompleksik. Obawa oddalenia się od Kraju wzbudza w wielu miałkich mózgach potrzbę padania plackiem przed każdą trochę lepszą książką wydaną w Polsce z okrzykiem: „Widzicie?! Jednak, jednak!". Trzeba zachować miarę i znać szyfr. Jeżeli w Kraju tyle było hałasu dokoła „Obrony Grenady", to nie dlatego że (jak ktoś dowodził na emigracji) jest to świetne i śmiałe opowiadanie, ale dlatego że ten mistrz politury socrealistycznej jakim jest Brandys wymyślił dla mniej odpornych na skoki barometru środek przeciw zaziębieniom w czasie odwilży: bohaterski oportunizm. Wartość literacką tego utworu określił bezbłędnie z matematyczną precyzją krytyk tak wrażliwy jak Sandauer w dwóch słowach: „grafomańskie opowiadanko". Jeżeli w Kraju podniesiono taki krzyk po noweli Dąbrowskiej „Na wsi wesele" i Andrzejewski umieścił ją na pierwszym miejscu swojej listy najlepszych utworów dziesięciolecia, to nie dlatego że jest to arcydzieło (bo nie jest), ale dlatego że to przyzwoicie napisane opowiadanie realistyczne z dobrego warsztatu pisarskiego może być dobrą lekcją dla wielu wyrostków socrealistycznych nie mających pojęcia jakie jest abc prawdziwego realizmu. Na emigracji więc (gdzie takich wyjątkowych okoliczności nie ma) niektórzy krytycy niepotrzebnie dawali do zrozumienia że otworzył się nowy rozdział w historii literatury polskiej.

Co to wszystko znaczy? Że jak okiem sięgnął cacy-cacy i w gruncie rzeczy „oni" myślą tak samo jak „my"? Nie. Nie ma Ketmanów i Murti-Bingów, ale jest powolny i niezauważalny dla samych uczestników proces przemiany umysłowości ludzkiej, który sprawia że różnica między nimi a nami powiększa się *z upływem lat*. Jest to proces powolny i nieuknionv i można go zaobserwować w zetknięciach z przyjezdnymi z Kraju, którzy na wiele rzeczy reagują *szczerze* zupełnie inaczej niż my, o wielu sprawach myślą *szczerze* inaczej niż my i stają się inni. Nasz wiek głębokich i fundamentalnych zmian nie sprzyja utrzymywaniu kontaktów spirytystycznych na odległość. Czas jest dziś większym i groźniejszym niż kiedykolwiek w historii składnikiem tyranii.

### DATA

Wahania pogody są tak duże, zaburzenia atmosferyczne tak gwałtowne, że przezorność nakazuje położyć pod tym komunikatem meteorologicznym datę: 26 maja 1956.

**Gustaw Herling-Grudziński.**